

## **I. PRZEGLĄD SYTUACJI STRATEGICZNEJ – ASPEKTY GLOBALNE I REGIONALNE**

Sytuacja międzynarodowa na świecie stała w ciągu ostatnich kilkunastu miesięcy pod znakiem Iraku. Irak stał się niezasłużonym „bohaterem” świata, ani bowiem nie stanowił zagrożenia, które wymagałoby tak daleko posuniętej koncentracji uwagi społeczności międzynarodowej, ani też iracki reżim i jego lider nie powinni byli występować w roli czynnika, w odniesieniu do którego formowała się opinia wobec przywództwa Stanów Zjednoczonych; choć skądinąd przywództwo to w swoich różnych przejawach mogło uzasadniać niepokój wielu państw. Szczególnie przykra była sytuacja, w której ofiarą sporów wokół rozwiązania kwestii irackiej padła transatlantycka jedność oraz perspektywy wspólnej europejskiej polityki zagranicznej i bezpieczeństwa. Tymczasem zarówno wspólnota atlantycka (NATO), jak i europejska (UE) podjęły odważne decyzje o rozszerzeniu na państwa Europy Środkowej i Wschodniej. Zarazem obu tym instytucjom (ich państwom członkowskim) zabrakło odwagi do podjęcia głębszych reform, niezbędnych dla sprostanania nieubłagany wymogom czasu (UE – do rywalizacji z USA, NATO zaś – do zwalczania nowych zagrożeń. Sprawa iracka, a w tle walka z terroryzmem, skutecznie przesłoniła wagę innych wielkich problemów międzynarodowych, w tym kształtowania porządku międzynarodowego (którego negatywnym czynnikiem organizującym nie może być Ibn Ladin czy Saddam Husajn), a zwłaszcza neutralizowania polaryzujących świat głębszych konsekwencji procesów globalizacji.

### **WOJNA Z IRAKIEM – MIĘDZY CELEM A METODĄ**

Problem „wojny z Irakiem” całkowicie zdominował międzynarodowy „porządek dnia” od połowy 2002 roku. Wzmagająca się od letnich miesięcy 2002 r. retoryka wojenna wielu przedstawicieli administracji USA oraz presja na wzięcie udziału w interwencji zbrojnej mającej na celu obalenie Saddama Husajna wytworzyła w społeczności międzynarodowej wrażenie, iż nie ma na świecie ważniejszej i bardziej palącej sprawy niż zapobieżenie irackiemu zagrożeniu. Świat jednak nie podzielał bynajmniej stanowiska Waszyngtonu ani co do oceny stopnia zagrożenia, jakie stanowił Irak, ani tym bardziej co do sposobu rozwiązania tego problemu. Wywoływane przez administrację G.W. Busha napięcie na tym tle polaryzowało zwłaszcza państwa sojusznicze (NATO) oraz scenę

bliskowschodnią. Szczególny brak zgody występował wokół czterech kwestii: oceny rzeczywistego zagrożenia ze strony Iraku, opcji „siłowej” prezentowanej przez Waszyngton jako jedynej możliwej i skutecznej w obliczu irackiego zagrożenia, adekwatności instytucji międzynarodowych, zwłaszcza ONZ, i właściwych norm prawnomiędzynarodowych znajdujących zastosowanie w tej sytuacji, a także oceny możliwych następstw ewentualnej operacji w zależności od jej formy (jednostronny atak USA, operacja ONZ, „chirurgiczne” usunięcie Saddama etc.).

Zwolennicy wojny z Irakiem mieli ogromne trudności z przekonaniem światowej opinii publicznej oraz większości rządów, że państwo to stwarza zagrożenie tego rodzaju, iż jedynym uzasadnionym i koniecznym sposobem zapobieżenia mu jest otwarta wojna – operacja na skalę porównywalną z wojną w Zatoce Perskiej w 1991 r. Należy przy tym podkreślić, że przedmiotem sporu nie był sam stosunek do Iraku. Nikt nie miał wątpliwości co do charakteru jego reżimu, dokonywanych przezeń naruszeń praw człowieka, nierespektowania różnorodnych ograniczeń wynikających z nałożonych nań w 1991 r. sankcji, przeszłych zbrodniczych dokonań. Powszechnie także dopuszczano możliwość, iż Irak posiada bliżej nieokreślone zasoby broni chemicznej i biologicznej. Jednocześnie większość państw stała na stanowisku, że Irak, zważywszy na efekty przegranej wojny i wieloletnich sankcji, nie dysponuje potencjałem, za pomocą którego mógłby stworzyć realne zagrożenie dla swego bezpośredniego otoczenia, ani tym bardziej dla Stanów Zjednoczonych. Przypisywana Bagdadowi przez polityków w Waszyngtonie intencja zaatakowania USA zdawała się do tego stopnia absurdalna, że osłabiała wymowę amerykańskiej retoryki na rzecz „rozprawy z Saddamem”. Problem wiarygodności zarzutów był tym poważniejszy, iż ani prowadzona od listopada 2002 r. bezprecedensowo wnikliwa inspekcja ONZ nie była w stanie wykryć na terenie Iraku zakazanej broni (dotkliwa nieobecność *smoking gun*), ani USA chciały ujawnić informacji, które mogłyby potwierdzić formułowane zarzuty; te, które zostały w końcu przekazane inspektorom ONZ, zostały przez nich uznane za „bezwartościowe”, co potwierdzałoby przekonanie, że decyzję o ataku na Irak Waszyngton podjął już znacznie wcześniej. Brak było także dowodów wskazujących na jakiegokolwiek powiązania Iraku z organizacjami terrorystycznymi.

Przeciwnie. Irak okazał się krajem słabym, wyniszczonym ekonomicznie, zacofanym technologicznie, a jego potencjał militarny był, według ocen amerykańskich, ponad trzykrotnie słabszy od tego, którym dysponował w 1991 r. Używając terminologii ze sportów walki, można powiedzieć, że Irak *Anno Domini* 2002 był krajem, który miał „założone trzymanie, duszenie i dźwignię” – odsłoniętym dla swego otoczenia, podzielonym na trzy części, otoczonym sojusznikami USA (Arabia Saudyjska, Kuwejt, Turcja) lub krajami otwarcie wrogimi (Iran) i banalnie łatwym do pokonania w sensie militarnym. Utrzymywać, jak robili to liczni komentatorzy i politycy USA, iż w tym stanie rzeczy Bagdad może zaatakować lub zagrozić bezpieczeństwu USA, to ciężko grzeszyć przeciwko zdrowemu rozsądkowi lub zakładać, że Husajn stracił instynkt samozachowawczy; lata jego

władzy wskazywały na coś wręcz przeciwnego. Jakakolwiek próba porwania się na Stany Zjednoczone równałaby się zmiecieniu Iraku z powierzchni ziemi i z tego władcy w Bagdadzie zdawali sobie doskonale sprawę.

Taktyka Stanów Zjednoczonych wobec Iraku przez wielu była interpretowana jako operacja zastępcza w „wojnie z terroryzmem”, która traciła impet wobec braku spektakularnych sukcesów. Wynikało z tej taktyki wyraźnie, że od samego początku jej celem było usunięcie reżimu Husajna, a kwestia rozbrojenia stanowiła jedynie pretekst. Problem polegał na tym, iż o ile w sprawie rozbrojenia Iraku jedynym legalnym i odpowiednim narzędziem była ONZ, czyli uprawnienia i procedury Rady Bezpieczeństwa, o tyle ONZ zupełnie nie nadawała się do obalenia Saddama; przeciwnie, była przeszkodą w osiągnięciu celu głównego Waszyngtonu. Dla niektórych wojna przeciwko Saddamowi była w istocie wojną o ropę, zarówno wprost iracką, jak i stabilność jej wydobycia i dostaw z rejonu Zatoki Perskiej. T. Friedmann w „International Herald Tribune” pisał otwarcie: tak, chodzi o ropę, jest bowiem niedopuszczalne, aby reżim iracki zużywał ją wyłącznie dla własnych celów<sup>1</sup>. Odpowiadano mu, iż w innych krajach regionu (będących sojusznikami USA) zyski ze sprzedaży ropy wędrują przede wszystkim do licznych i bajecznie bogatych rodzin królewskich (a członkowie niektórych finansujący potajemnie terroryzm wymierzony w interesy USA). Jeszcze inni dopatrywali się źródeł antyirackiej kampanii USA w „rodzinnym” atawizmie Bushów. Czego z niejasnych powodów nie uczynił „tata” Bush, postanowił dokończyć Bush junior; pisano wręcz o „irackiej monomanii G.W. Busha”. Co byłoby jednak w pełni usprawiedliwione w 1991 r., było trudne do uzasadnienia na przełomie 2002/2003. Wtedy należało powstrzymać i ukarać Irak, dzisiaj wielu większe obawy żywiło w stosunku do polityki USA, która znacznie się zmieniła od tamtego czasu.

Źródłem być może największych obaw przeciwników wojny z Irakiem był właśnie szerszy, polityczno-międzynarodowy kontekst kampanii USA, a przede wszystkim stosunek administracji G.W. Busha do ONZ jako instrumentu w tej kampanii. Latem 2002 r. niepokój znacznej części społeczności międzynarodowej budziło stanowisko Waszyngtonu, zgodnie z którym USA nie potrzebowały żadnej międzynarodowej legitymizacji dla swojej jednostronnej akcji zbrojnej mającej na celu obalenie Saddama. Taki krok oznaczałby w istocie wejście na drogę samowoli i samosądów w życiu międzynarodowym i fatalnie wróżyłby przyszłości społeczności międzynarodowej. Kiedy wreszcie, z najwyższym trudem, udało się przekonać USA (wrzesień 2002 r.) do wejścia na drogę zgodnego z prawem międzynarodowym sposobu rozwiązania kwestii irackiej (rozbrojenia Iraku), Waszyngton zaczął żądać dostosowania się ONZ do amerykańskiego punktu widzenia, metody „rozwiązania problemu” oraz ostatecznego celu przedsięwzięcia. Wielokrotnie powtarzane stanowisko Waszyngtonu brzmiało: albo ONZ dokona rozbrojenia Iraku poprzez autoryzowaną przez Radę Bezpieczeństwa NZ operację militarną, w której trakcie doszłoby do obalenia Saddama i osadzenia

<sup>1</sup> T. Friedmann, *Yes, a war partly over oil*, „IHT” z 6 stycznia 2002 r.

w Bagdadzie przebywającej na emigracji irackiej opozycji, albo Stany Zjednoczone uczynią to w trybie jednostronnym, bez oglądania się na ONZ czy społeczność międzynarodową. Wojownicza i ultymatywna retoryka polityków USA zawierała zwroty nierzadko obraźliwe dla ONZ („ONZ o tyle przydatna, o ile zrealizuje wolę USA”). Tego typu postawa była szczególnie widoczna w odniesieniu do realizacji przyjętej przez Radę Bezpieczeństwa rezolucji w sprawie irackiej. Początkowo wyglądało to na wyraźnie demonstrowaną irytację, iż inspekcje nie dają oczekiwanych przez Waszyngton wyników już po tygodniu działalności, a następnie zaczęło się głośne odliczanie czasu, jaki pozostał do interwencji USA, jeśli Irak nie przedstawi dowodów na to, że się rozbroił.

Całkowicie pomijano w Waszyngtonie dwie okoliczności. Pierwszą, iż wraz z wejściem inspekcji ONZ na teren Iraku uzyskaliśmy pewność, że Bagdad przestał stanowić zagrożenie dla kogokolwiek, a zatem nie było powodów do parcia ku szybkiemu rozwiązaniu wojennemu, które zawsze wiąże się z gigantycznymi kosztami, dramatem i niepewnością co do nie możliwych do przewidzenia konsekwencji i niezamierzonych skutków ubocznych. Drugą był bezprecedensowo intruzywny i obeszladniający charakter przyjętej przez Radę Bezpieczeństwa NZ 8 listopada 2002 r. rezolucji nr 1441. Rezolucja, biorąc pod uwagę jej postanowienia, była niewątpliwym i ogromnym sukcesem dyplomatycznym USA, również i dlatego, że została przyjęta jednogłośnie. Przeciwnicy amerykańskiej polityki wobec Iraku w Radzie sądzili, iż przyjmując tak ostrą rezolucję, uda się powstrzymać Waszyngton od jednostronnej wojny przeciwko Irakowi.

Przyjęta na podstawie rozdziału VII Karty NZ (*Akcja w razie zagrożenia pokoju...*) rezolucja 1441 ustanawiała surowy reżim kontrolny (realizowany przez UNMOVIC oraz MAEA), którego celem było stwierdzenie, czy Irak dysponuje bronią masowego rażenia (chemiczną, biologiczną lub jądrową), możliwościami bądź programami jej produkcji oraz raketami balistycznymi zdolnymi do jej przenoszenia o zasięgu przekraczającym 150 km. Inspektorzy UNMOVIC oraz MAEA otrzymali prawo „bezpośredniego, nieskrępowanego, bezwarunkowego i nieograniczonego” dostępu do absolutnie wszystkich miejsc na obszarze Iraku (łącznie z ośrodkami prezydenckimi) oraz do osób, które mogły mieć związek z produkcją czy magazynowaniem takiej broni. Irak został także zobowiązany do przekazania aktualnych, pełnych i precyzyjnych danych na temat tej broni, łącznie z informacją o jej zniszczeniu, jeśli istotnie to miało miejsce. Inspektorów zobowiązano do przedstawienia pierwszego raportu ze swej pracy po upływie 60 dni od chwili rozpoczęcia inspekcji. Zostali wyposażeni w najnowsze środki techniczne służące wykrywaniu tych rodzajów broni, a także prawo do ich niszczenia. Wszelkie powodowane przez Irak utrudnienia w pracy inspektorów miały być przedmiotem analizy i ewentualnych decyzji Rady Bezpieczeństwa i mogły zostać uznane za „poważne naruszenie” zobowiązań Iraku. Irak został wreszcie ostrzeżony o „poważnych konsekwencjach” jako rezultacie kontynuacji naruszania swych zobowiązań. Wszystkie państwa członkowskie NZ (w tym naturalnie członkowie Rady Bezpieczeństwa) miały udzielać pełnego poparcia pracy inspektorom UNMOVIC i MAEA. Po upływie pierwszych 60 dni inspektorom nie udało się

znaleźć ani jednego przypadku posiadania przez Irak zakazanej broni czy możliwości jej produkcji (nie sygnalizowano także utrudnień ze strony Bagdadu), jednak raport Iraku na ten temat był dalece niepełny, zawierał szereg uchybień i przemilczeń, zwłaszcza w odniesieniu do stwierdzonych przez inspekcje ONZ przed grudniem 1998 r. zasobów broni chemicznej i biologicznej. Inspektorzy domagali się przedłużenia czasu inspekcji. 60 dni po czteroletniej przerwie w działalności inspektorów ONZ, wywołanej nalotami USA i Wielkiej Brytanii na Irak, to rzeczywiście niewiele. Warto podkreślić, iż inspekcje prowadzone do tego czasu wykazywały się niemałą skutecznością w wykrywaniu i niszczeniu zakazanych rodzajów broni i programów<sup>2</sup>.

Można byłoby zatem sądzić, że pierwsze efekty pracy inspektorów (nawet zakładając brak dobrej woli ze strony Bagdadu, który wprawdzie nie utrudniał ich pracy, lecz zarazem sam nie ujawniał domniemanych zasobów) to jedynie kwestia czasu. Zwłaszcza że 5 lutego br. Stany Zjednoczone ujawniły przed Radą Bezpieczeństwa własne materiały, zdaniem Waszyngtonu, pokazujące miejsca i sposoby produkcji, przechowywania oraz ukrywania przez Irak zakazanej broni<sup>3</sup>. Ujawnienie tych materiałów (choć jak się okazało, nie w pełni wiarygodnych, a w części wręcz mocno przestarzałych) postawiło USA w dość niezręcznej sytuacji. Po pierwsze, w wielu krajach, także sojusznicznych, stawiano sobie pytanie, dlaczego tak późno doszło do ich ujawnienia; przecież również Stany Zjednoczone miały obowiązek współpracy z Radą Bezpieczeństwa ONZ i misją inspektorów, a więc wspomaganie ich pracy poprzez dzielenie się informacją na temat broni ukrywanej przez Bagdad. Po drugie, skoro Rada w końcu otrzymała te dane, to logiczną konsekwencją było przekazanie ich inspektorom do weryfikacji na miejscu i uzyskania w ten sposób postępu w operacji rozbijania Iraku. Przedłużenie czasu pracy i wzmocnienie kadrowo-techniczne komisji ONZ byłoby zawsze tańszym i bezpieczniejszym sposobem pozbawienia Iraku zakazanej broni niż wojna przeciwko temu państwu. Kontynuacja tego rodzaju intruzywnej inspekcji gwarantowała ponadto pełną przejrzystość, jeśli chodzi o poczynania Iraku. Przypomnijmy, że ONZ utrzymuje w różnych miejscach na świecie tysiące swych oddziałów, aby zapewnić w tych regionach pokój, bezpieczeństwo i stabilność. W samym Kosowie stacjonuje kilkadziesiąt tysięcy żołnierzy, policjantów i służb innego rodzaju po to, aby zapobiec zagrożeniom, jakie mogliby stworzyć kosowscy Albańczycy dla serbskich współmieszkańców lub dla swego otoczenia. I społeczność międzynarodowa ponosi ogromne koszty tej trwającej od 1999 r. operacji; notabene, punktem wyjścia było tu błędne, jak się okazało, założenie o potrzebie ochrony Albańczyków przed Serbami. Nic nie stało zatem na przeszkodzie (poza stanowiskiem USA), aby ONZ-owską operację utrzymania pokoju na znacznie mniejszą przecież skalę prowadzić na terenie Iraku<sup>4</sup>.

<sup>2</sup> Nt. rzeczywistych i domniemanych składów zakazanej broni w Iraku zob. np. P. Durys, P. Pacholski, *Broń masowego rażenia Iraku. Ocena i ewolucja zagrożenia*, Warszawa 2002.

<sup>3</sup> Zob. szerzej C. Powell, *Nie cofniemy się przed wojną*, „Rz” z 5 lutego 2002 r.

<sup>4</sup> Nt. idei tzw. *coercive inspections* zob. *IRAQ. A New Approach*, raport Carnegie Endowment z sierpnia 2002 r.

Powszechne i uzasadnione były obawy wielu państw na świecie, iż jednostronna, nawet jeśli z poparciem pewnej liczby państw, lecz podjęta poza ONZ akcja zbrojna przeciwko Irakowi oznaczałaby załamanie uniwersalnego systemu bezpieczeństwa zbiorowego funkcjonującego pod egidą Rady Bezpieczeństwa NZ, jego zasad i procedur. Te obawy dotyczyły przede wszystkim państw słabszych i mniejszych; wszak na straży ich bezpieczeństwa (w obliczu samowoli wielkich) stały normy i instytucje międzynarodowe<sup>5</sup>.

Było oczywiste, iż **stawką sporu o rozwiązanie kwestii irackiej nie jest sam Irak, lecz podstawy porządku międzynarodowego. Dobrze rozumiano to w Paryżu, Berlinie, Moskwie, Watykanie czy Kuala Lumpur (gdzie w lutym br. odbył się szczyt państw niezaangażowanych). Kontestując politykę USA, te państwa nie kwestionowały przywództwa Ameryki i nie kierowały się ślepych antyamerykanizmem, jak twierdzili nierozumni komentatorzy, lecz sprzeciwiały się uderzeniu w zasady, których respektowanie leżało w interesie całej społeczności międzynarodowej.** „Ci, których celem nie jest w istocie rozbrojenie, lecz zmiana przy pomocy akcji militarnej reżimu irackiego – pisał Zbigniew Brzeziński – lekceważą dalekosiężne znaczenie stworzenia precedensu dla skutecznych i kolektywnych działań, które stawiałyby czoło wyzwaniom dla globalnego bezpieczeństwa”<sup>6</sup>.

„Wyprzedzający” atak na Irak budził obawy z jeszcze jednego względu. Chodziło o możliwe i niezamierzone konsekwencje tej wojny: począwszy od śmierci tysięcy niewinnych ludzi, przez dezintegrację Iraku i destabilizację regionu aż po wzrost fali antyamerykanizmu oraz postaw antyzachodnich w całym świecie islamskim, a nawet szerzej. Ponadto groźba amerykańskiego ataku konsolidowała reżim w Iraku oraz społeczeństwo tego kraju wokół Husajna. Nawet przebywający na przymusowej emigracji intelektualiści iraccy sprzeciwiali się zmianie reżimu w Bagdadzie w wyniku wojny. Zwolennicy krwawej rozprawy z Saddamem zupełnie ignorowali możliwości, jakie danym przypadkiem mogła przynieść strategia pośrednia, czyli cierpliwe i bardziej wyszukane metody obliczone na wywołanie czynników wewnętrznej erozji reżimu, jego destabilizacji i ostatecznego upadku. Komunizm także nie upadł pod wpływem działań wojennych. Rzecz znamienna, do wojny z Irakiem parli w Waszyngtonie przede wszystkim politycy reprezentujący prawe, fundamentalistyczne skrzydło republikańskiej administracji (między innymi D. Rumsfeld, P. Wolfowitz, R. Cheney), największą powściągliwość wykazywali zaś wojskowi bądź politycy z wojskową przeszłością: C. Powell, J. Shalikashvili czy dowódca operacji przeciwko Jugosławii Wesley Clark, naj-

<sup>5</sup> Z. Brzeziński, *Stawka kryzysu irackiego*, „Rz” z 31 grudnia 2002–1 stycznia 2003 r.; S. Chesterman, D.M. Malone, *The fate of the Security Council*, „IHT” z 27 stycznia 2003 r.

<sup>6</sup> „Wyołbrzymianie przez nich amerykańskiej potęgi – kontynuuje Brzeziński, op. cit. – prowadzi do mieszania pojęcia przewagi z pojęciem wszechmocy. Tymczasem niezdolność do odróżniania tych pojęć może uruchomić procesy niebezpieczne dla długofalowego utrzymania przez Amerykę roli globalnego lidera. (...) Wojownicza i niecierpliwa retoryka, zwłaszcza jeśli miałyby dojsć do wojny, przynosi tylko odwrotne skutki, zarówno na świecie, jak i w Stanach Zjednoczonych. Tym trudniej też usprawiedliwić pęd do wojny”.

większy krytyk wojennych planów przeciwko Irakowi. Ci ostatni lepiej zdawali sobie sprawę z destrukcyjnych skutków i dramatu, który niesie ze sobą wojna; nie byli oni także przekonani o głoszonym przez tych pierwszych zagrożeniu ze strony Iraku.

Najbardziej naiwne brzmiały tezy o tym, iż obalenie dyktatury Husajna w ten sposób przyniesie demokratyzację zarówno samego Iraku (jak ironizowano, „implantację ateńskiej demokracji na ziemi babilońskiej”), jak i innych islamskich państw regionu. Zadawano sobie w tym kontekście pytanie, dlaczego USA nie rozpoczęły procesu demokratyzacji w rejonie Zatoki Perskiej od swych sojuszników, zwłaszcza od Arabii Saudyjskiej. Podobnie naiwne było stanowisko, zgodnie z którym „droga do pokoju na Bliskim Wschodzie wiedzie przez Bagdad”. Zdawano się tutaj całkowicie zapominać, że konflikt izraelsko-palestyński ma zupełnie inne źródła i czynniki dynamiki, a jego rozwiązanie wiedzie przez Jerozolimę i Ramallah.

**Pierwszym, niezamierzonym rezultatem amerykańskiej wojny z Irakiem,** zanim jeszcze do niej doszło, **był powrót Korei Północnej do realizacji swego programu nuklearnego** (w październiku 2002 r.), który zakładał także możliwość wyposażenia tego reżimu w najmniejszy bodaj potencjał jądrowy. Reżim północnokoreański przy otwartej kurtynie wyprosił z kraju inspektorów Międzynarodowej Agencji Energii Atomowej i całkiem oficjalnie, w obecności kamer telewizyjnych, uruchomił wyłączone od lat reaktory. Ten krok mógł grozić skutkami całkiem nieobliczalnymi, zważywszy na samoizolację Korei Północnej oraz totalitarny, nieludzki i zupełnie nieprzewidywalny charakter jej przywództwa. Powodem, dla którego Korea postanowiła się raptownie wyposażyć w pociski nuklearne, była jej obawa, że stanie się następnym krajem (z „osi zła”), który po Iraku padnie ofiarą ataku Ameryki. Nawet kilka pocisków (plus rakiety, którymi Koreańczycy istotnie dysponowali), mogących zagrozić Seulowi bądź Japonii było w ich przekonaniu skutecznym środkiem odstrasającym. W ocenie wielu analityków zagrożenie stworzone tym krokiem przez reżim Kim Dzong-ila było znacznie większe niż to, które pochodziło z Iraku. Mimo to Waszyngton odmawiał zajęcia się tą sprawą, twierdząc, że Irak i Korea Północna to dwa różne problemy (co było dość oczywiste), a jej zaatakowanie przez USA nie wchodzi w grę z uwagi na znacznie trudniejsze sąsiedztwo (przede wszystkim Chin). Amerykanie odmawiali też podjęcia rozmów dwustronnych z reżimem w Phenianie, który w zamian za wstrzymanie programu domagał się deklaracji Waszyngtonu, iż nie zaatakuje on Korei Północnej (oraz kontynuacji programu pomocy żywnościowej). Tak odmienne podejście USA do realnego zagrożenia nuklearnego stworzonego przez reżim w Phenianie potwierdzało zdaniem obserwatorów tezę, iż w sprawie Iraku głównym motywem polityki Waszyngtonu nie była obawa przed zagrożeniem ze strony Bagdadu<sup>7</sup>.

Niesłuchanie ważnym argumentem przeciwko rozpętywaniu hysterii i propagandy wojennej na tle kwestii irackiej, którą – choć była poważna – można było

<sup>7</sup> H.A. Kissinger, *Nuklearny szantaż*, „Rz” z 18–19 stycznia 2003 r.; W. Christopher, *North Korea is more urgent*, „IHT” z 2 stycznia 2003 r.; W.C. Potter, *A far bigger nuclear threat than Iraq*, „IHT” z 3 stycznia 2003 r.

rozwiązać w niemilitarny sposób, było przesłonięcie przez tę kampanię propagandową innych ważnych dla bezpieczeństwa i stabilności świata problemów. Z właściwą sobie przenikliwością i wrażliwością ujmował to Ryszard Kapuściński. Ten wybitny znawca cywilizacyjnego i społecznego podłoża porządku międzynarodowego mówił: „Te **werble wojenne**, które mają wywołać aurę strachu i zagrożenia, są bardzo słabo słyszalne dla wielu społeczności, często w ogóle do nich nie docierają. (...) Ten rodzaj propagandy, który udzielił się wielkim mediom – to ciągle mówienie o tym, kto kogo za chwilę zaatakuje – przesłania fakt, że na świecie dzieje się dużo ważnych rzeczy. Świat to nie tylko konflikt Ameryki z Irakiem. Tymczasem zmasowanie informacji na ten jeden temat przesłania nam wielką dynamikę świata: to, że jest on twórczy, pełen energii, że się rozwija. (...) Ludzie budują swoje światy, chcą uczestniczyć w doskonaleniu własnej egzystencji, a przez to naszej planety. Nikt nie myśli o wojnie”. Kapuściński następująco komentuje zamiar amerykańskiej „partii wojny” planującej eksportować demokrację do świata arabskiego: „Odczytuję to jako próbę uzasadnienia działań ekspansywnych. (...) To się rzeczywiście udaje, tyle że za cenę ogromnego przelewu krwi, kilkunastowiecznej okupacji i dominacji. Jest to zatem pomysł nienowoty, historia zna wiele przykładów niesienia «barbarzyńcom» innej «wyższej cywilizacji».(...) Trzeba tylko najpierw oszacować, ile milionów istnień ludzkich będzie kosztował. Kto podejmie za to odpowiedzialność? Ile pokoleń będzie to trwało?”<sup>8</sup>.

Pracę do wojny, której nie potrafił uzasadnić wobec międzynarodowej opinii publicznej, Waszyngton osiągnął zaskakujący i najmniej zamierzony „sukces”: opinia publiczna w większości państw świata, wielu intelektualistów, dyplomacie tak różnych stolic jak Paryż, Watykan, Moskwa czy Rijad, wszyscy zaangażowali się po stronie Bagdadu, aby nie dopuścić do ataku USA na Irak. Przy czym nikt z tych, którzy stanęli po stronie Iraku, nie odczuwał bynajmniej najmniejszej sympatii dla reżimu Husajna. Nie akceptowano jednak zarazem motywów i metod USA w tym konflikcie. Waszyngton ignorował to zjawisko i zdawał się nie dostrzegać jego długofalowych konsekwencji<sup>9</sup>.

W argumentacji Waszyngtonu i postępowaniu w sprawie irackiej rzucał się w oczy wręcz spektakularny brak logiki, szacunku dla faktów oraz konsekwentne

<sup>8</sup> *Ciszej z tymi werblami*, wywiad z Ryszardem Kapuścińskim (rozmawia A. Domosławski), „GW” z 24–26 grudnia 2002 r.

<sup>9</sup> Ch. Bertram, *Kontrola zamiast inwazji*, „Rz” z 18–19 stycznia 2003 r.; M. Dowd, *Smoky allusion but no smoking gun*, „IHT” z 30 stycznia 2003 r. (autor trafnie pokazuje, w jaki sposób różni przedstawiciele administracji Busha postrzegają Irak jako laboratorium dla swoich pomysłów, w tym wyprzedzających uderzeń czy wprowadzania demokracji w świecie arabskim); W. Clark, *A quick war, then lots of trouble*, „IHT” z 9 października 2002 r.; R.N. Haass, *The goal becomes Muslim democracy*, „IHT” z 11 grudnia 2002 r.; P. Wolfowitz, *Well aware of the perils of war*, „IHT” z 22–25 grudnia 2002 r.; T. Garton Ash, *Waszyngton w stanie wojny*, „GW” z 21–22 grudnia 2002 r.; K. Łoziński, *Atakować Saddama Husajna*, „Rz” z 29 stycznia 2003 r.; F. Bruni, *Pope calls the potential war in Iraq „a defeat for humanity”*, „IHT” z 14 stycznia 2003 r.; P. Stephens, *Blair needs another resolution to stiffen his country’s resolve*, „FT” z 20 grudnia 2002 r.; S. Brittan, *The logic of not invading Iraq*, „FT” z 23 października 2003 r.; D. Hurd, *War with Iraq would not end the dangers*, „FT” z 3 stycznia 2003 r.; R. Kuźniar, *Ameryki wojna z prawem*, „Tygodnik Powszechny” z 15 września 2002 r.



odrzucając jakichkolwiek innych propozycji rozwiązania problemu poza wojną. Amerykańskie twierdzenie, że retoryka wojenna oraz gromadzenie potencjału militarnego wokół Iraku służą presji, bez której Irak nie będzie wykonywał rezolucji, było o tyle nieprawdziwe, iż rozmiary sił zbrojnych znacznie przekraczały potrzeby wiarygodnej presji, a ich struktura wskazywała na przygotowywanie się od samego początku do inwazji, niezależnie od efektów pracy inspektorów czy stanowiska Rady Bezpieczeństwa ONZ. Projekt Francji, Niemiec i Rosji (z 10 lutego 2003 r.) rozbrojenia Iraku poprzez kombinację wzmocnionych inspekcji i operacji *peacekeeping* został zdyskwalifikowany przez USA, zanim został zgłoszony. Dość korzystny dla Iraku i kwestionujący wiele amerykańskich twierdzeń drugi raport inspektorów ONZ przedstawiony Radzie Bezpieczeństwa 14 lutego br. postawił USA na izolowanej pozycji. Irracjonalne powtarzanie przez amerykańskich polityków: „time is running out” i uruchomienie potężnej maszyny wojennej doprowadziło do punktu, w którym **wojna istotnie z każdą minutą stawała się nieuchronna. Nie dlatego, aby była konieczna lub uzasadniona, tylko dlatego, że tak postanowił Waszyngton.**

### JAKI PORZĄDEK MIĘDZYNARODOWY?

Zagrożenie terrorystyczne oraz sprawa iracka wyciskały silne piętno na obliczu sytuacji międzynarodowej. Jej rozwój zdawał się potwierdzać wyrażane już wcześniej obawy, że owe zagrożenia, niezależnie od ich rzeczywistych rozmiarów, oraz reakcje na nie będą się stawać czynnikiem organizującym nie wykształcony jeszcze po geopolitycznych zmianach przełomu lat osiemdziesiątych i dziewięćdziesiątych i rodzący się wśród koncepcyjnego zamętu nowy porządek międzynarodowy. A zatem nie zasady i sposoby rozwiązywania globalnych problemów społecznych, ekonomicznych czy narastających zagrożeń w sferze ekologii czy demografii, lecz siła militarna jako odpowiedź na problemy bezpieczeństwa (mające często swe źródło we wcześniej wymienionych) stawała się czynnikiem stabilizującym i porządkującym świat. Owo wysuwanie się nagiej *power politics* na pierwszy plan miało miejsce w warunkach ścierania się różnych koncepcji porządku międzynarodowego, spośród których dwie przyciągały największą uwagę. Pierwsza opierała się na wizji świata postrzeganego jako chaos, niestabilność, gąszcz zagrożeń i partykularyzmów, stwarzających zagrożenie dla „naszych” interesów. Ich obrona wymaga zdecydowania i siły, która nie może być krępowana przez prawo i instytucje międzynarodowe czy zdanie partnerów, sojuszników lub jakiejś części społeczności międzynarodowej. Stabilność świata zależy od gotowości mocarstw do „wzięcia na siebie odpowiedzialności”, nawet jeśli nikt ich do tego nie upoważniał. Druga koncepcja zakładała, iż istniejące problemy nie stanowią tak wielkiego zagrożenia, a przy kooperatywnym podejściu, zakładającym dialog i gotowość do kompromisu oraz respektowanie odmienności cywilizacyjnych, możliwe jest ich rozwiązywanie. Najlepszą drogą do tego jest właściwe wykorzystywanie istniejących instytucji międzynarodowych. Pierwsza z nich miała swych zwolenników przede

wszystkim, choć nie wyłącznie, w Ameryce, druga zaś głównie, choć nie tylko, w Europie. Terroryzm i Irak, mimo swego koniunkturalnego charakteru, odgrywały rolę sojusznika pierwszej z nich, i to im oraz historycznie unikatowej potędze USA zawdzięczamy, iż ta właśnie wizja porządku międzynarodowego dominowała w ciągu ostatnich kilkunastu miesięcy i rzutowała negatywnie na życie międzynarodowe, w tym na stosunki pomiędzy państwami członkowskimi jednego sojuszu (NATO) i tej samej wspólnoty (UE).

Ideowym manifestem pierwszej z wymienionych koncepcji ładu światowego była ogłoszona we wrześniu 2002 r. **nowa Narodowa Strategia Bezpieczeństwa USA** (pierwszy tego typu dokument nowej administracji). Dokument wprowadzie nie zawiera wizji porządku międzynarodowego, a jeśli już – to bardzo zubożoną, lecz koncentruje się – zgodnie z nazwą – na sposobach, w jakie Ameryka będzie zapewniać sobie bezpieczeństwo. Ponieważ USA są mocarstwem globalnym i posiadają globalne interesy bezpieczeństwa, owe sposoby odnoszą się do całego świata i w tym sensie mają pełnić funkcje regulujące w stosunku do całego, globalnego porządku międzynarodowego. Przy lekturze dokumentu rzuca się w oczy jego niesłychanie ideologiczny charakter. Słowem wybitnie nadużywanym w tym tekście jest „wolność” – ośmiokrotnie już w pierwszym paragrafie *Strategii*. Siła Ameryki ma służyć wolności w jej różnych odmianach. Dość osobliwa jest tu także definicja „prawdziwej wolności”: „If you can make something that others value, you should be able to sell it to them. If others make something that you value, you should be able to buy it. That is real freedom (...)”. Wolność handlu jest zasadą moralną. Jednym z wielokrotnie deklarowanych celów USA jest kreowanie globalnej „równowagi sił na rzecz wolności”. Hasło jest nie tylko wewnętrznie sprzeczne, ale zapowiada gotowość Ameryki do ofensywnego stosowania siły militarnej. Znaczący problematyki międzynarodowej ironizowali, iż „równowaga sił na rzecz wolności” przypomina od strony logiczno-ideologicznej międzynarodowy program bloku komunistycznego wspierającego „światowy proces rewolucyjny” i głoszącego równocześnie ideę pokojowego współistnienia. Podawana w zideologizowanej formie wolność jest ornamentem przystrajającym czystą *Realpolitik*, gdy chodzi o obronę i forsowanie amerykańskich interesów bezpieczeństwa. W tym tekście nie ma miejsca na prawa człowieka, na demokrację, społeczeństwo obywatelskie czy otwarte społeczeństwo. Centralne miejsce zajmuje natomiast siła militarna w czystej postaci oraz współpraca z innymi mocarstwami na rzecz zapewnienia bezpieczeństwa w kształcie definiowanym przez USA. Zagrożenie dla bezpieczeństwa jest tu jednowymiarowe – terroryzm, i jednowymiarowa jest także odpowiedź. Jest nią potencjał militarny USA.

Z tego punktu widzenia *Strategia* jest prawdziwą i zdumiewająco szczerą odą do siły militarnej, manifestem na rzecz jej stosowania w polityce zagranicznej. Autorzy dokumentu nie mogą się powstrzymać przed dawaniem upustu swej radości i satysfakcji z bezprecedensowej i historycznie nieporównywalnej siły militarnej Ameryki. Stany Zjednoczone otwarcie deklarują zamiar niedopuszczenia do tego, aby jakiegokolwiek inne państwo osiągnęło potęgę porównywalną do tej, którą dysponują USA. Mamy tutaj zatem do czynienia z doktrynalnym

odrzucając zasadę równowagi. Niesłuchanie rozszerzająca jest definicja sytuacji, w której Amerykanie są gotowi posłużyć się siłą zbrojną – nie tylko w obronie własnej, lecz także dla zapewnienia ochrony swych interesów w różnych częściach świata oraz interesów bezpieczeństwa „przyjaciół i sojuszników”. Wiele kontrowersji wzbudziła zawarta w dokumencie doktryna „uderzeń wyprzedzających”, a zatem bez odpowiedniego mandatu ONZ. Mając świadomość, że nie byłyby one zgodne z prawem międzynarodowym, autorzy *Strategii* szukają legitymizacji dla uderzeń wyprzedzających w poglądach głoszonych przez „legal scholars and international jurists”. **Stany Zjednoczone rezerwują sobie nie tylko prawo do jednostronnego podjęcia decyzji o użyciu siły poza prawem międzynarodowym, lecz również w sposób niezgodny z obowiązującym prawem wojennym czy humanitarnym.** Zawarte jest to w kolejnym zdumiewająco otwartym zapisie odrzucającym jakąkolwiek jurysdykcję Międzynarodowego Trybunału Karnego (ICC) w stosunku do działań militarnych podejmowanych przez USA. Ma to zapewnić im bezkarność na wypadek popełnienia przestępstw wojennych, zbrodni przeciwko ludzkości, zbrodni agresji czy też zbrodni ludobójstwa (taka jest bowiem kompetencja Trybunału). Wśród instytucji i instrumentów odpowiedzialnych za zapewnianie Ameryce bezpieczeństwa w skali globalnej czołowe miejsca w tym dokumencie zajmują siły zbrojne i różne formacje wywiadu, natomiast zadaniem dyplomacji, której wyznacza się na końcu skromne miejsce, jest utrzymywanie kontaktów z innymi państwami. W strategii bezpieczeństwa innych państw dyplomacja zajmuje z reguły pierwsze i najważniejsze miejsce. Realizując swą strategię bezpieczeństwa, Waszyngton stawia na współpracę z mocarstwami regionalnymi, które stara się dokooptować do swego programu zapewniania globalnego bezpieczeństwa. W rozdziale poświęconym innym ośrodkom globalnej siły (*Other Main Centers of Global Power*) jest mowa o Chinach (które ostrzega się zarazem przed kontynuacją ich wysiłków w sferze militarnej), Rosji, Indiach, a także o NATO i zdawkowo o UE. Notabene, wśród wymienionych z nazwy krajów ważnych dla bezpieczeństwa Ameryki znalazły się między innymi Republika Korei, Singapur, Tajlandia czy Nowa Zelandia; na tej liście nie ma żadnego kraju europejskiego. Odniesienia do instytucji wielostronnych są śladowe, a do ONZ jedynie wręcz grzecznościowe.

Nic zatem dziwnego, że tekst *Strategii* wzbudził bardzo różne reakcje: od zachwyty w szeregach amerykańskiej prawicy przez mieszane uczucia i krytykę neutralnych komentatorów po niepokój w wielu częściach świata. Jeden z najwybitniejszych amerykańskich komentatorów, William Pfaff, napisał w „International Herald Tribune”, że nowa strategia bezpieczeństwa USA jest ilustracją „radykalnego przewartościowania amerykańskiego podejścia do stosunków międzynarodowych”. Jego zdaniem strategia kwestionuje podstawy istniejącego porządku międzynarodowego i dotychczas jedynie bolszewicka Rosja, a następnie Związek Sowiecki, tak radykalnie odrzucały fundamentalne zasady prawa i stosunków międzynarodowych. Pfaff krytykował przenikający tekst unilateralizm oraz doktrynę uderzeń uprzedzających, ostrzegał przed poleganiem jedynie na percepcji interesów bezpieczeństwa w kontekście łamania zasad Karty NZ oraz

bił wręcz na alarm: „USA potwierdzają intencję militarnej dominacji nad światem. Sytuacja jest bardzo dramatyczna. Trzeba, aby zajął się tym Kongres, ponieważ konsekwencje [takiej polityki – red.] mogą się okazać w dłuższej perspektywie nieprzyjemne”<sup>10</sup>. W takiej sytuacji tym większy niepokój budził pośpiech, z jakim administracja G.W. Busha zdecydowała o rozpoczęciu budowy systemu antyrakietowego (NMD). W grudniu 2002 r. prezydent postanowił o utworzeniu do końca 2004 r. zrębów (I faza) systemu, mimo że jak powszechnie podkreślano, nie istnieje przeciwnik, przed którym należałoby chronić Amerykę przy takim systemie. Przeciwnie, w ostatnim okresie eksperci coraz częściej zaczęli wskazywać na ofensywne możliwości, jakie taki system stwarza (zapewnienie sobie niewrażliwości na ewentualny odwet ze strony kraju dotkniętego akcją militarną USA; głowica antyrakietowa może w każdej chwili być zastąpiona pociskiem konwencjonalnym lub nuklearnym).

W świetle powyższego programu oraz praktyki polityki zagranicznej Stanów Zjednoczonych G.W. Busha wśród anglosaskich badaczy i analityków nasiliły się opinie o imperialnym charakterze międzynarodowej roli i polityki USA. W generalnie przychylnym międzynarodowemu zaangażowaniu Ameryki, choć nierzetelnym w warstwie faktograficznej tekście znany profesor z **Uniwersytetu Harvarda, Michael Ignatieff, nie ma wątpliwości: tak, Stany Zjednoczone są mocarstwem imperialnym**. Ignatieff popiera też imperialną politykę USA, choć zarazem w trosce o jej konsekwencje i pozycję Stanów Zjednoczonych wskazuje na pewne ograniczenia i błędy amerykańskiego „imperializmu w wersji pospiesznej”. Ignatieff pisze między innymi: „Imperium XXI wieku jest nowym zjawiskiem: to globalny hegemon, którego idee – takie jak wolny rynek, prawa człowieka i demokracja – egzekwuje najstraszliwsza potęga militarna w dziejach świata”. Z dalszych wywodów wynika jednak, iż to nie takie wartości upowszechnia „imperializm narodu amerykańskiego”. Cytując Arthura Schlesingera jr. twierdzącego, że „każde mocarstwo, bez względu na ideologię, ma swoją kastę wojowników”, Ignatieff pisze dalej: „Z badań Roberta J. Liebera z Georgetown University wynika, że kolejni prezydenci przekazali zadanie projekcji amerykańskiej potęgi kaście wojowników, nie zdając sobie sprawy z konsekwencji swego postępowania. Lieber wskazuje, że za prezydenta Kennedy’ego Stany Zjednoczone wydawały 1% PKB na pozamilitarną promocję swych wpływów za granicą: Departament Stanu, pomoc dla zagranicy, ONZ, programy informacyjne. Pod rządami prezydenta Busha ten udział zmalał do 0,2% PKB. W krajach rozwijających się obecność amerykańskich sił specjalnych jest znacznie wyraźniejsza niż obecność ochotników Korpusu Pokoju czy ekspertów ds. żywności USAID. Diana Priest podkreśla w przygotowywanym do publikacji studium amerykańskiego sektora wojskowego «The Mission», że regionalni dowódcy Pentagonu mają za granicą znacznie większe wpływy dyplomatyczne i polityczne niż amerykańscy ambasadorzy. (...) Amerykańska obecność za granicą jest w coraz większym stopniu obecnością zbrojną: w mundurze, za zasiekami z drutu kolczastego i wy-

<sup>10</sup> W. Pfaff, *A radical rethink of international relations*, „IHT” z 3 października 2002 r.

sokimi murami. (...) Co miesiąc Stany Zjednoczone wydają około miliarda na operacje wojskowe w Afganistanie – i zaledwie 25 milionów dolarów na pomoc. Taki obraz potęgi przygotowanej do odparcia ataku może budzić szacunek dla Stanów Zjednoczonych, lecz nie podziw i sympatię (...)”. Owszem, pisze prof. Ignatieff, to „amerykańskie siły imperialne przywracają porządek”, lecz „europejscy działacze humanitarni odbudowują drogi, domy, szkoły”. I wreszcie złowieszczą brzmiąca konkluzja: „Tworzy się nowy międzynarodowy ład, lecz ma on służyć amerykańskim imperialnym celom. Sojusznicy Ameryki chcą ładu wielostronnego, który zasadniczo ograniczy amerykańską potęgę, ale imperium nie pozwoli się omotać, jak Guliwer, tysiącem prawnych nitek”<sup>11</sup>.

**Problemem staje się nie tyle siła Ameryki, ile cele i sposoby jej stosowania. Oświecone przywództwo Stanów Zjednoczonych mogłoby być błogosławieństwem dla świata, zwłaszcza w trudnym i niestabilnym okresie przejściowym.** Waszyngton jednak – jak się zdaje – nie przywiązuje wagi do tej okoliczności. Potencjał Ameryki ma służyć jej partykularnym celom. Wynika to wprost ze wzmiankowanej wcześniej *Strategii USA*. Owszem, na użytek propagandowy próbuje się legitymizować poczynania Waszyngtonu interesem „wspólnoty międzynarodowej”, jednak fakty mówią coś zupełnie innego, a głos „wspólnoty międzynarodowej” nie jest tam brany pod uwagę. Dotyczy to w szczególności właśnie tego, co wzbudza największy lęk w społeczności międzynarodowej, czyli dezynwoltury Waszyngtonu w sprawie użycia siły, a właściwie fascynacji siłą militarną jako sposobem rozwiązywania problemów międzynarodowych i utwierdzenia pozycji Ameryki w świecie. Podejście USA w tej sprawie będzie przecież determinować tendencję międzynarodową. Otóż z jednej strony dzięki otwartości społeczeństw zachodnich oraz „demokratyzacji” techniki (łatwość dostępu do zabójczych technologii) mamy do czynienia ze wzrostem możliwości użycia siły w stosunkach międzynarodowych przez podmioty pozapaństwowe (grupy terrorystyczne), czyli jej swoistej prywatyzacji. Z drugiej strony następuje **prywatyzacja wojny** w samych Stanach Zjednoczonych, doszło tam bowiem do bezprecedensowej centralizacji władzy w zakresie użycia siły w polityce zagranicznej; na przykład decyzja o uderzeniu uprzedzającym znalazła się całkowicie w gestii prezydenta i jego otoczenia – wpływ Kongresu w tym zakresie zmalał niemal do zera. Rozmyły się mechanizmy wewnętrznej równowagi i powściągliwości. Jak napisano w „The New York Times”, „europejskim i azjatyckim sojusznikom Ameryki zaczyna spędzać sen z powiek niezdrowa perspektywa samowoli Stanów Zjednoczonych narzucających swoją wolę innym państwom”; będzie to z pewnością wymuszać – dodawano proroczo – pojawianie się różnych przedziwnych koalicji państw próbujących się temu przeciwstawić. Tymczasem w obliczu różnych kryzysowych problemów (Korea, Bliski Wschód, możliwe konsekwencje wojny z Irakiem) wychodzi na jaw raczej **słabość siły zbrojnej** jako jedynej czy nawet głównej metody ich rozwiązywania. „Nadal myślimy w kategoriach zdolności do zabijania jako czynnika naszej siły. Nadal myślimy, że potęgą jest racja

<sup>11</sup> M. Ignatieff, *Brzemie imperium*, „Rz” z 25–26 stycznia 2003 r.

(*might is right*), że silny musi dominować, a słaby musi się podporządkować. Mówiąc szczerze, nie zrobiliśmy wielkiego postępu od czasów kamienia łupanego (*The Stone Age*). Nadszedł czas na to, aby się zatrzymać na chwilę i zastanowić” – pisał zaniepokojony premier Malezji<sup>12</sup>.

Dodatковым powodem do niepokoju był szeroko opisywany wpływ religii i stowarzyszeń religijnych (wręcz działających w Białym Domu swoistych „kółek różańcowych” – grup studiujących Stary i Nowy Testament) na światopogląd kręgu decyzyjnego w Waszyngtonie i politykę USA, zwłaszcza na samego prezydenta, któremu powrót do religii pomógł kilkanaście lat wcześniej wyrwać się z nałogu alkoholowego. G.W. Bush wręcz wzywa organizacje religijne do tego, aby wspólnie z rządem „pomogły Ameryce wypełnić jej wizję sprawiedliwości i dobrobytu”. W sprawach zagranicznych obecność czynnika religijnego daje o sobie znać w „filozofii krucjaty” przenikającej postawę Waszyngtonu wobec prawdziwych i domniemyanych zagrożeń i przeciwników Ameryki. W jednym z raportów na ten temat na łamach „The Financial Time” napisano: „**Mamy prezydenta, który zamierza pogrążyć świat w chaosie, rozpoczynając nie dającą się uzasadnić wojnę, a czyni to, częściowo okrywając się religijnym płaszczem**”. Zaś cytowany wcześniej W. Pfaff pisał wręcz o wypieraniu w myśleniu Waszyngtonu dowodów empirycznych przez ideologię, co prowadzi do wzajemnego zasilania się dwóch radykalizmów: Al-Ka’idy i Białego Domu. Potwierdza to jedynie paradygmat wojny cywilizacji, czego chce uniknąć Europa<sup>13</sup>.

*Weltanschauung* obecnej administracji oraz jej styl działania, a zwłaszcza niewrażliwość na lęki i problemy innych oraz forsowanie jedynie własnych, egoistycznych interesów, doprowadziły do znaczącego pogorszenia się międzynarodowego wizerunku Stanów Zjednoczonych. Potwierdził to ogłoszony w grudniu 2002 r. wielki raport niezależnego *think-tanku* Pew Research Center przeprowadzony wspólnie z „International Herald Tribune”. Badaniami objęto 38 tys. osób w 44 krajach całego świata. Mimo poparcia dla wojny Ameryki z terroryzmem obniżył się stopień sympatii dla niej ze względu na dążenie do wojny z Irakiem, „nadmiernie agresywną politykę zagraniczną oraz nieuwzględnianie interesów swych sojuszników i przyjaciół”. Amerykę czyniono także odpowiedzialną za różne problemy światowe, a zwłaszcza za obecne w różnych regionach

<sup>12</sup> M. bin Mohamad, *It is time to pause and rethink*, „IHT” z 16 stycznia 2003 r.; *Exercising American power*, „The NYT” z 2 stycznia 2003 r.; *Washington’s Balance of Power Shifts*, „The Wall Street Journal Europe” z 22 października 2002 r.; W. Pfaff, *Let’s stick to the facts*, „IHT” z 2 stycznia 2003 r.; J. Harding, *Preaching to the converted*, „FT” z 4–5 stycznia 2003 r.; J.S. Nye, *Irak: prywatyzacja wojny*, „Rz” z 28 stycznia 2003 r.

<sup>13</sup> „Wydaje się, iż ta prawicowa wersja trockistowskiej «permanentnej rewolucji», dążąca do zniszczenia istniejących instytucji i struktur, odzwierciedla odwieczne oczekiwanie, iż owa przemoc doprowadzi do lepszego i szczęśliwszego świata. Atak Al-Ka’idy zdaje się upoważniać rządzący nurt polityczny przekonany o moralnym prawie i politycznej kompetencji Ameryki do pokonania terroryzmu przez reorganizację społeczności międzynarodowej, choć jest to wiara całkowicie pozbawiona empirycznych podstaw. W praktyce ta polityka przyniosła zamiast oczekiwanego porządku – nieład. Dwa radykalizmy bez przerwy pracują, i w 2003 roku będą się nadal wzajemnie zasilać”.

świata gospodarcze i społeczne ubóstwo. **Psychiczny introwertyzm Ameryki w połączeniu z jej militarnym i ekonomicznym internacjonalizmem** zaczynał budzić niepokój nawet jej najbliższych sojuszników. Tony Blair publicznie uskarżał się na początku stycznia br., iż sojusznicy wsłuchują się w stanowisko USA, lecz problem polega na tym, że Ameryka nie chce słuchać (*listen back*) swych sojuszników. **Waszyngton stawał się głuchy.** Tak poważni eksperci ubolewali, że obecna administracja, koncentrując się na argumentach militarnych Ameryki, zupełnie ignoruje znaczenie *soft power* – atrakcyjności kulturowej czy sfery wartości. Joseph S. Nye (były wiceminister obrony USA) pisał: „Jednostronnie imperialistyczna Ameryka jest znacznie mniej atrakcyjna niż Ameryka przewodząca koalicji przymuszającej do respektowania rezolucji ONZ i ratującej organizację od wejścia na drogę nieszczęsnej Ligi Narodów. Właśnie dlatego rezolucja 1441 jest tak ważna i dlatego tak wielkie znaczenie ma system inspekcji. Problemem nie jest zwycięstwo Ameryki, lecz jego cena”<sup>14</sup>.

W tym miejscu można jedynie zasygnalizować dwie poważne konsekwencje sposobu i treści przywództwa Stanów Zjednoczonych oraz wymuszonej przez nie koncentracji uwagi świata na sprawie irackiej: a) narastanie problemów i podziałów we wspólnocie transatlantyckiej, b) zepchnięcie ważnych spraw światowych na odległy plan.

Pierwszą ofiarą omówionej powyżej postawy była jedność Zachodu, wspólnoty transatlantyckiej oraz spójność samego Sojuszu Północnoatlantyckiego. Różnice w łonie wspólnoty atlantyckiej zarysowywały się już wcześniej. Jeszcze 12 września 2001 r. sojusznicy USA bez wahania odwołali się do art. 5 Traktatu Waszyngtońskiego, stawiając tym samym NATO do dyspozycji Ameryki. Waszyngton zignorował to i poszedł własną drogą w operacji afgańskiej (Sojusz mógłby przeszkadzać). W kolejnych miesiącach obok solidarności i ścisłej współpracy w sprawie zwalczania terroryzmu zaczęły się pojawiać różnice w innych kwestiach związanych z bezpieczeństwem międzynarodowym. Na tle tych różnic ujawniła się również **istotna odmienność kultur strategicznych Europy i Stanów Zjednoczonych.** Ameryka charakteryzuje się gotowością do reagowania totalnego, militarnego i jednostronnego, podczas gdy Europejczycy wykazują naturalną skłonność do multilateralizmu, ostrożności, a nawet kunktatorstwa, i stawiają na szerokie spektrum środków, wśród których użycie siły jest ostatecznością. Obok historii wielką rolę odgrywa tu potencjał oraz organizacja – USA są jednolitym podmiotem, podczas gdy Europa (UE) związkiem państw. Różnice te zostały koncepcyjnie ujęte przez Roberta Kagana w głośnej formule „kowboje i kelnerzy”, której bardziej elegancka wersja brzmi: bóg wojny, Mars, zamieszkał w Ameryce, boginią Europy jest zaś Wenus. Formuła jest o tyle słuszna, że istotnie bóg wojny stał się bogiem Ameryki. Europa ma tych bogów znacznie więcej. Kagan starał się uzasadnić jednostronne i wyprzedzające użycie siły przez USA przeciwko Irakowi „filozoficznym”

<sup>14</sup> B. Knowlton, *A rising anti-American tide*, „IHT” z 5 grudnia 2002 r.; *A warning from America's friends*, „FT” z 9 stycznia 2003 r.; J.S., *Nye, Bombs can't do it all*, „IHT” z 14 lutego 2003 r.

sposprzeżeniem, zgodnie z którym „prawdziwe życie międzynarodowe nie jest przyjemne”. Można mu odpowiedzieć, że istotnie nie jest miłe wtedy, gdy dochodzi do nieuprawnionego użycia siły przez mocarstwa. To one wszakże, z ich swobodą posługiwania się siłą, są odpowiedzialne za wielkie dramaty, które miały miejsce w nowożytnej historii społeczności międzynarodowej. Mocarstwa zwykły nazywać swe praktyki „ponoszeniem odpowiedzialności” za pokój czy bezpieczeństwo, co w praktyce okazywało się nierzadko brakiem odpowiedzialności oraz nieponoszeniem konsekwencji za skutki podejmowanych działań. Rezultatami takich działań były zawsze obciążane słabsze państwa i narody. Stąd przywiązanie tych ostatnich do respektowania prawa międzynarodowego i waga, jaką przywiązują one do wielostronnych instytucji międzynarodowych.

Jeszcze do listopadowego szczytu NATO w Pradze narastające rozbieżności można było tłumić samymi przygotowaniem do podjęcia przez Sojusz ważnych decyzji. Nie należało także psuć atmosfery święta, którym jest zawsze takie spotkanie. Wagi decyzji podjętych w Pradze nie da się wprawdzie porównać do historycznego szczytu w Waszyngtonie (kwiecień 1999 r.), jednak nie można im odmówić pewnej doniosłości. Chodzi naturalnie przede wszystkim o rozszerzenie NATO o siedem kolejnych państw postkomunistycznych, w tym trzy postsowieckie (Litwę, Łotwę, Estonię, Słowację, Rumunię, Bułgarię i Słowenię). Niemalże znaczenie dla międzynarodowej roli NATO miała decyzja o utworzeniu sił szybkiego reagowania (*NATO Response Force*), składających się z „technologically advanced, flexible, deployable, interoperable and sustainable force including land, sea, and air elements ready to move quickly to wherever needed, as decided by the Council”. Formacje te nie tylko powinny pomóc w postępie technologicznym sił zbrojnych w europejskich krajach Sojuszu, lecz także uwiarygodnić jego globalną rolę. Siły reagowania powinny być w pełni operacyjne nie później niż w październiku 2006 r. Szczyt potwierdził wagę, jaką Sojusz przywiązuje do współpracy z Rosją – w ramach Rady NATO–Rosja – oraz z innymi krajami postsowieckimi, zwłaszcza z Ukrainą. Z polskiego punktu widzenia praskie decyzje były sukcesem. Już jednak w okresie przed Pragą i w komentarzach po szczycie liczne były opinie, zwłaszcza w USA, że NATO znalazło się w ślepej uliczce, że transformacja sojuszu upodabnia go do OBWE, że jego formuła w nowej sytuacji międzynarodowej się wyczerpała, a jedyny pożytek, jaki mogą mieć zeń Amerykanie, to **pełnienie przez NATO funkcji „skrzynki z narzędziami”** (*tool box*), z której czasem będzie można coś wyjąć do prowadzonej samodzielnie przez Waszyngton operacji lub platformy dla przyszłych „koalicji chętnych”, swoistej muszki do amerykańskiego munduru, legitymizującej jego poczynania, dla których nie będzie zgody w Radzie Bezpieczeństwa NZ (pozory multilateralizmu).

Taka perspektywa kreślona przed NATO przez amerykańskich ekspertów, komentatorów oraz niektórych polityków nie mogła przypaść do gustu Europejczykom. Uwidocznili się to w pełni w tygodniach zwiększonej presji Waszyngtonu na Radę Bezpieczeństwa, której celem było uzyskanie zgody na siłowe rozwiązanie problemu irackiego oraz przynajmniej częściowe zaangażowanie



Sojuszu do tej operacji. Otwarty kryzys został wywołany przez ultymatywny postulat Waszyngtonu domagającego się stworzenia przez NATO osłony dla Turcji, rzekomo zagrożonej przez Irak. Argumentacja była całkowicie sprzeczna ze zdrowym rozsądkiem. Ewentualne zagrożenie dla Turcji mogło się pojawić jedynie w sytuacji jednostronnej akcji militarnej USA korzystających z terytorium Turcji. Zresztą zdaniem wielu ekspertów Irak nie dysponował bronią, której mógłby użyć w jakiejś akcji odwetowej wobec Turcji. Francuzi, Belgowie i Niemcy, którzy blokowali ten postulat do czasu stosownej decyzji podjętej przez Radę Bezpieczeństwa NZ, uważali, że jego spełnienie byłoby postawieniem na militarne rozwiązanie sprawy, daleko zanim zostały wyczerpane środki dyplomatyczne oraz możliwości wynikające z rezolucji 1441<sup>15</sup>. W ferworze dyskusji D. Rumsfeld zaczął dzielić Europę na „starą”, która nie chce podążać bezwarunkowo za USA, oraz „nową” (zwłaszcza obejmującą Polskę i kraje naszego regionu), która uznaje przywództwo USA i popiera ich politykę wobec Iraku. Kulminacją tego retorycznego pojedynku, w trakcie którego Rumsfeld stawiał Niemców obok Libii i Kuby, Francuzi zaś głośno krzyczeli, że opanowany przez kowbojów z Teksasu Waszyngton nie jest dla nich żadnym guru, przypadła na przełom stycznia i lutego tego roku. Wtedy też zaczęto mówić o najgłębszym kryzysie w dziejach NATO, o poważnej chorobie Sojuszu, czy wręcz o jego ostatecznej śmierci. Tym, który rzucił grudkę ziemi na trumnę ze zwłokami Sojuszu, miał być kanclerz Schröder. W takiej atmosferze nie miały szans na przebicie się do świadomości wartościowe projekty konsolidacji więzi atlantyckich (P.H. Gordon, R.D. Asmus i K.M. Pollack). W ogniu polemiki zdawano się także zapominać, że prezydenci i ich ministrowie przychodzą i odchodzą, kolejne kryzysy mijają, a głęboka wspólnota interesów ekonomicznych, strategicznych i politycznych pomiędzy oboma brzegami Atlantyku ma nieprzemijalny charakter i temperamenty polityków nie powinny jej szkodzić. Naturalnie, jedność Sojuszu jest sprawą obu stron. Jest on związkiem państw demokratycznych i suwerennych. Jeśli Waszyngton będzie podchodził do NATO tak jak do ONZ (albo będzie spełniać nasze życzenia, albo jest niepotrzebna i możemy się bez niej obejść), wtedy pęknięcie nabierze trwałego charakteru i przyszłość NATO stanie pod znakiem zapytania. Amerykanie muszą być świadomi odpowiedzialności, jaka także na nich ciąży. Gdyby się zdecydowali na doprowadzenie do „śmierci” NATO w jakiegokolwiek formie, nic nie byłoby już w stanie powstrzymać rozłamu zachodniej cywilizacji na europejską i amerykańską<sup>16</sup>.

<sup>15</sup> Notabene, Turcy sami nie wierzyli w irackie zagrożenie, jeszcze 21 lutego bowiem nie chcieli wyrazić zgody na udostępnienie swego terytorium wojskom amerykańskim, choć Waszyngton usiłował zmiekczyć ich postawę ofertą pomocy na ogromną sumę 26 mld USD.

<sup>16</sup> R. Kagan, *Real international life isn't nice*, „IHT” z 27 grudnia 2002 r.; A. i H. Tofflerowie, *Sojusz ochotników?*, „Rz” z 7–8 grudnia 2002 r.; A. Hamilton, *NATO zdycha*, „Forum” z 2 grudnia 2002 r. (przedruk za „The Independent” z 22 listopada); H.A. Kissinger, *A Dangerous Divergence*, „The Washington Post” z 10 grudnia 2002 r.; Z. Brzeziński, *Program dla NATO*, „Rz” z 20 listopada 2002 r.; F. Bonnard, *A choice of deep change or further decline*, „IHT” z 19 listopada 2002 r.; K. Bachmann, *NATO w stanie choroby*, „Rz” z 13 lutego 2003 r.; R.D. Asmus, K.M. Pollack, *The New Transatlantic Project*, „Policy Review” z października 2002 r.; P.H. Gordon, *Bridging the Atlantic Divide*, „Foreign Affairs”, styczeń–luty 2003 r.

Drugą poważną ofiarą atmosfery międzynarodowej ostatnich kilkunastu miesięcy były stosunki Zachodu z resztą świata oraz niedostrzeganie poważnych i nabrzmiewających problemów międzynarodowych, a zatem brak należytej współpracy społeczności międzynarodowej na rzecz ich rozwiązywania. Dla Zachodu jako całości coraz trudniejszym zagadnieniem stawały się stosunki ze światem islamu zdominowane przez amerykańskie podejście do Iraku oraz krwawy i nie rokujący nadziei na rozwiązanie konflikt izraelsko-palestyński. Pojawienie się w tym kontekście **planów „modernizacji” islamu i przebudowy struktur politycznych państw arabskich nawet za cenę kolejnej wojny światowej** (N. Podhoretz) nie mogło nie wzbudzić niepokoju i podejrzliwości w świecie arabskim; powszechnie tego rodzaju pomysły interpretowano przez pryzmat koncepcji „zderzenia cywilizacji”, choć zwolennicy wniesienia demokracji na islamski grunt *manu militari* twierdzili, że inspiracją teoretyczną był tu raczej Fukuyama wieszczący upowszechnienie liberalnej demokracji na całym świecie. Najwyraźniej można ich zaliczyć do grupy tych, którzy z pracy Fukuyamy przyswoili sobie tylko pierwszych kilka akapitów. Problem naturalnie nie jest teoretyczny, tylko polityczny. Próba urzeczywistnienia takiego projektu w wersji zapowiadanej przez ideologów obecnej administracji USA byłaby równoznaczna z wywołaniem zarzewia konfliktów oraz destabilizacją świata islamskiego o trudnych do przewidzenia skutkach dla reszty świata<sup>17</sup>.

W sytuacji, w której Stany Zjednoczone były pochłonięte przygotowaniem do wojny z Irakiem (i uwikłaniem się „po drodze” w „dyplomatyczną fazę” rozwiązywania sprawy irackiej) zabrakło przywództwa, które mogłoby katalizować współpracę międzynarodową na rzecz rozwiązywania realnych i długofalowych problemów międzynarodowych. Bez aktywnego udziału USA te rozwiązania mogą być jedynie cząstkowe lub będą musiały poczekać na powrót Stanów Zjednoczonych do kooperatywnego multilateralizmu i do bardziej empatycznej postawy z ich strony wobec problemów nękających różne regiony świata. W tej sytuacji to na przykład Francja, która objęła przewodnictwo G 8, proponuje program polegający na nadaniu globalizacji „ludzkiej twarzy”. Na ten program składają się cztery elementy: 1) odpowiedzialność w gospodarce rynkowej, 2) solidarność z krajami uboższymi, zwłaszcza z Afryką, 3) bezpieczeństwo w obliczu zagrożenia terroryzmem i proliferacją broni masowego rażenia, 4) upowszechnianie demokracji i dobrego rządzenia. **Niesłuchanie** ważne jest w tym podejściu **rozwinięcie i umocnienie społecznego wymiaru globalizacji**. Jak bowiem wskazują poważni ekonomiści, wzrost bogactwa u nielicznych, nawet jeśli ich liczba także wzrasta, nie przyczynia się w najmniejszym stopniu do poprawy średniej światowej pod tym względem. Obecne reguły gry, forsowane przede wszystkim i w coraz bardziej skrajnej postaci przez ultrakonserwatywną administrację USA, nie sprzyjają łagodzeniu takich problemów jak ubóstwo, głód, marginalizacja, skrajne nierówności, brak dostępu do wykształcenia czy opieki zdrowotnej,

<sup>17</sup> N. Podhoretz, *O co naprawdę chodzi prezydentowi Ameryki*, „Forum” z 25 listopada 2002 r. (przedruk za „Commentary”, wrzesień 2002 r.).

a w ostatecznym rezultacie upadłość społeczeństw i państw. Kiedy zaś, jak uważa wielu polityków i badaczy, upadają społeczeństwa, rodzi się terroryzm, który oprócz innych motywów żywi się ignorancją i uprzedzeniami, niesprawiedliwością i alienacją, beznadzieją i rozpaczą. Zwalczanie tych problemów to odbieranie terrorystom moralnej legitymacji dla ich zbrodniczych poczynań, to wyjaławianie gleby, z której wyrasta terroryzm. Ekonomisci i politolodzy zwracają uwagę na spektakularną porażkę globalizacji w Ameryce Łacińskiej, która postawiła w swej polityce gospodarczej na zasady zawarte w *Washington consensus*. Jej rezultatem było nasilenie się „złodziejskiego kapitalizmu”; wraz ze wzrostem nierówności przyszła niestabilność i rządy populistów. Problemy takich krajów jak Argentyna, Brazylia, Wenezuela czy Ekwador (nie mówiąc o Kolumbii czy kilku innych) skłaniają obserwatorów do określania **Ameryki Łacińskiej jako „rozpadającego się kontynentu”**. Rutynowe programy i recepty w rodzaju „wolny rynek plus demokracja” stają się przyczyną zaburzeń, jeśli nie uwzględniają specyfiki regionalnej czy cywilizacyjnej<sup>18</sup>.

### EUROPEJSKA JEDNOŚĆ POLITYCZNA? *PAS D'ILLUSIONS, MESSIEURS!*

Przełom 2002/2003 roku należał bez wątpienia do najbardziej trudnych momentów w historii najnowszej Europy. Decyzje podejmowane przez państwa i instytucje europejskie oraz wydarzenia rozgrywające się poza Europą pociągały za sobą bardzo niejednoznaczne konsekwencje oraz niejednokrotnie **stawiały pod znakiem jedność Europy, jej podmiotową rolę na scenie międzynarodowej, jednym słowem – przyszłość Europy jako całości**. Dwa zagadnienia zdominowały scenę europejską: rozszerzenie UE oraz jedność polityczna obecnej i rozszerzonej Unii.

„Poszerzenie ma jasne historyczne i moralne fundamenty, których nie zakwestionuje żaden zwolennik demokracji”, pisał w świetnym tekście *Unia dla przyszłości* Günter Verheugen, unijny komisarz do spraw rozszerzenia. I dodawał: „Oczywiście, rozszerzenie ma polityczne i strategiczne znaczenie”<sup>19</sup>. Opinie polityków i tytuły w mediach po szczycie kopenhaskim brzmiały jednogłośnie: „Europa staje się w końcu jednością, nastąpiło ostateczne zjednoczenie Europy”. Rozumiano bowiem, nawet jeśli byłoby niezręcznie mówić o tym wprost, że oto **nastąpiło „domknięcie” Europy w ramach jej cywilizacyjnego paradygmatu**. To, co pozostało poza granicą obecnego rozszerzenia, z nielicznymi wyjątkami, było już inną Europą, podobnie jak USA są odrębnym wariantem zachodniej cywilizacji. Kolejne znaczące rozszerzenie nastąpi nieprędko. Wbrew temu, co pisali niektórzy, obecne rozszerzenie nie jest ustanowieniem nowych podziałów,

<sup>18</sup> J. Chirac, *Bringing fairness to globalization*, „IHT” z 25–26 stycznia 2003 r.; N.D. Kristof, *A continent falling apart*, „IHT” z 18 grudnia 2002 r.; C. Hallinan, *Bush's aid plan: contributing to misery*, „IHT” z 28–29 grudnia 2002 r.; P. Krugman, *There's no average person in the bar*, „IHT” z 22 stycznia 2003 r.; N.H. Wirajuda, *When societies fail, terrorism steps in*, „IHT” z 13 listopada 2002 r.

<sup>19</sup> G. Verheugen, *Unia dla przyszłości*, „Rz” z 13–14 lipca 2002 r.

lecz z jednej strony zmazaniem przejściowych, sztucznych, narzuconych w 1945 r., z drugiej zaś dostosowaniem instytucji integracji europejskiej do podziałów istniejących od stuleci. Zarazem obecne rozszerzenie UE nie ma nic wspólnego z „Jałtą bis” (według określenia Bohdana Cywińskiego), granica Unii w niczym bowiem nie przypomina żelaznej kurtyny. UE, poprzez swe liczne programy, prowadzi aktywną politykę przyciągania społeczeństw pozostających poza unią do europejskich standardów. Izolacja od „Europy” może być jedynie decyzją rządów państw pozostających poza UE. Decyzja o rozszerzeniu jest sukcesem krajów kandydujących, które miały naturalne prawo przystąpienia do Unii, lecz przecież znaczna część z nich, z Polską na czele, jest jeszcze daleka od spełnienia unijnych standardów i w Unii znalazła się w dużym stopniu na kredyt. Rozszerzenie jest także sukcesem Unii, jej odważną decyzją, która nie przez wszystkie państwa członkowskie została przyjęta z entuzjazmem. Za ten sukces Unia, czyli jej obecne państwa członkowskie, będzie musiała nie mało zapłacić, choć wiemy, że jest to wyjątkowo tanie rozszerzenie (w sensie bezpośrednich korzyści finansowych nowych państw).

Finansowe, lecz przecież także kulturowe przetrwanie tego rozszerzenia zajmie Unii Europejskiej sporo czasu i będzie źródłem niemałych problemów w nadchodzących latach. Warto pamiętać, że swą stagnacją ekonomiczną Niemcy dopiero teraz płacą cenę ogromnego transferu środków do byłej NRD tuż po zjednoczeniu. Pamiętajmy zatem, że mieliśmy prawo do włączenia się do UE, lecz nie musiało ono nastąpić tak szybko (biorąc pod uwagę nasze ogólne zapóźnienie rozwojowe). Na obecne państwa kandydackie, a wkrótce członkowskie, nakłada to szczególną odpowiedzialność za wspólne dobro, jakim staje się zjednoczona z ich udziałem „wspólna Europa”. Chodzi nie tylko o respektowanie unijnych norm, na przykład w dziedzinie ochrony środowiska naturalnego, lecz w nie mniejszym stopniu o troskę o pozycję Europy w świecie, o solidarną obronę europejskich wartości czy o jedność UE w obliczu różnych problemów międzynarodowych bądź podejmowanych z zewnątrz prób rozbicia europejskiej jedności. Z tego właśnie względu rozszerzenie Europy zdaje się zapowiadać wielkie trudności. Oto bowiem, zdaniem niemałej liczby obserwatorów, **głównym politycznym beneficjentem decyzji o rozszerzeniu UE jest... Waszyngton**. Eksperci i dyplomaci po obu stronach Atlantyku twierdzą, że wzrost amerykańskich wpływów w Unii będzie się odbywał za pośrednictwem byłych sowieckich satelitów, co stawia pod znakiem zapytania pełną samodzielność w stosunku do Stanów Zjednoczonych europejskiej polityki zagranicznej, bezpieczeństwa i obrony (CFSP oraz ESDP), zwłaszcza ta ostatnia bowiem jest silnie uzależniona od porozumiewania się z NATO. Sami Amerykanie nie kryją, iż toczy się walka o sprawowanie „rządu dusz”; chodzi naturalnie o dusze narodów Europy Środkowowschodniej. Rzecz naturalnie ma nie tyle duchowy, ile materialny charakter, to znaczy chodzi o interesy polityczne, strategiczne i gospodarcze. Znamienna była w tym kontekście wypowiedź ambasadora USA w Polsce, Chrisa Hilla, po decyzji rządu polskiego o wyborze samolotu F-16, co było równoznaczne z porażką w przetargu samolotów oferowanych przez firmy europejskie: „To jest wybór mający fun-

damentalne znaczenie dla stosunków Polski w sferze strategicznej, politycznej i wojskowej”<sup>20</sup>.

Jedność UE oraz silna pozycja na scenie międzynarodowej, w tym wola i środki obrony jej interesów wobec świata zewnętrznego, są składnikami „ **europejskiej racji stanu**”. Sukces integracji europejskiej leży przede wszystkim w interesie słabszych i mniejszych państw członkowskich; do takich jeszcze przez dłuższy czas będzie należeć Polska (niech nas nie zwiodą liczby przypadających nam głosów w organach UE). W cytowanym wcześniej tekście G. Verheugen pisał także: „Europejskie podręczniki historii pokazują, że w ciągu stuleci wielkie państwa grały małymi jak piłką, stając się, w ostatecznym rachunku, zagrożeniem dla wszystkich, w tym także dla siebie. Właśnie dlatego dla celów integracji europejskiej stworzono zupełnie nowy system, który zapobiega zdominowaniu małych krajów przez wielkie”. Powtórzmy zatem: **silna Europa leży przede wszystkim w interesie państw słabszych**. Tymczasem wiele wskazuje na to, iż państwa wchodzące do UE, a więc państwa słabsze, nie chcą silnej, czyli zjednoczonej Europy. Nie chcą jej także starzy członkowie Wspólnoty. To, co się dzieje w UE od chwili narastania sprawy irackiej, sprawia, iż pod względem jedności politycznej Wspólnota cofa się do początku lat sześćdziesiątych, to znaczy do czasów, gdy fiasko poniósł tak zwany plan Foucheta, którego celem było ustanowienie Europejskiej Współpracy Politycznej. Na tle Iraku doszło do głębokiego rozłamu, który unieważnił Europejską Wspólną Politykę Zagraniczną i Bezpieczeństwa. Wielka Brytania, Hiszpania i Włochy poparły jednoznacznie stanowisko Waszyngtonu (wojna), podczas gdy pozostałe państwa opowiadały się raczej za linią prezentowaną przez Paryż i Berlin (pokojowe załatwienie problemu rozbrojenia Iraku). Przyjmowane od czasu do czasu wspólne deklaracje „15” niczego tu nie zmieniały.

Podziały w Unii zostały wzmocnione silnym poparciem polityki USA wobec Iraku przez kraje kandydujące do UE. Kulminacją tych podziałów było przyjęcie w końcu stycznia słynnego listu siedmiu premierów (w tym Polski i Węgier), w którym wyrażono solidarność z Ameryką w jej podejściu do Iraku; list, zainicjowany podobno przez Hiszpanię, nie był konsultowany z pozostałymi państwami UE. Kilka dni później pojawiła się podobna w duchu deklaracja dziesięciu rządów wschodnioeuropejskich (grupa wileńska). Tym razem już jawnym inicjatorem był Bruce Jackson, były wysoki urzędnik Pentagonu, wojskowych służb wywiadowczych USA oraz koncernu Lockheed Martin, który próbuje odgrywać rolę mentora i doradcy rządów krajów wschodnioeuropejskich. List miał ułatwić siedmiu spośród dziesięciu państw drogę do członkostwa w NATO<sup>21</sup>. Tego typu sytuacje pokazują, iż Stany Zjednoczone stosunkowo łatwo rozgrywiają państwa europejskie w sposób, który europejską jedność polityczną czyni zwykłą iluzją.

Nic zatem dziwnego, że w obliczu grożącego paraliżem europejskiej polityki bezpieczeństwa rozszerzenia Unii pojawiają się koncepcje objęcia jej zasadą

<sup>20</sup> J. Vinocur, *The big winner in the EU expansion: Washington*, „IHT” z 9 grudnia 2002 r.; *Jilting Europe, Poland opts to ‘buy American’*, „IHT” z 28–29 grudnia 2002 r.

<sup>21</sup> T. Fuller, *U.S. lobbyist helped draft Eastern Europe’s Iraq statement*, „IHT” z 20 lutego 2003 r.

„wzmocnionej współpracy”, która umożliwiłaby Europejczykom działanie na scenie międzynarodowej także wtedy, **gdy dla części państw członkowskich UE jej stolicą będzie nadal Waszyngton**. Taki jest sens deklaracji złożonej wspólnie przez Paryż i Berlin 22 listopada 2002 r. do Konwentu Europejskiego. „W sytuacji, w której nie wszystkie państwa członkowskie będą chciały lub mogły uczestniczyć we wspólnych przedsięwzięciach, trzeba, aby instrument wzmocnionej współpracy mógł być zastosowany także w ramach ESDP”, twierdzi słusznie odrodzone „francusko-niemieckie małżeństwo z rozsądku” (którego 40. „rocznica ślubu” – Traktatu Elizejskiego – minęła w styczniu br.). W obliczu różnorodności postaw obecnych i przyszłych członków Unii jest to perspektywa nieuchronna. Nowi członkowie UE mogą nie chcieć uczestniczyć w wysiłkach na rzecz wzmocnienia międzynarodowej roli Europy, nie powinny ich jednak sabotować. Do przedsięwzięć, których sens polega na sabotowaniu dążeń do silnej i zjednoczonej Europy, należy także usilne forsowanie jak najszybszego przyjęcia Turcji do UE. Wypowiedziane publicznie i z rozmysłem w listopadzie 2002 r. przez przewodniczącego Konwentu Europejskiego Valéry’eo Giscarda d’Estaing słowa mówiące, iż przyjęcie Turcji byłoby końcem Unii Europejskiej ze względu na jej odmienność kulturową i inny sposób życia, wzbudziły wielkie kontrowersje. Dla nikogo jednakże nie ulegało wątpliwości, jest to kwestia związana z określoną koncepcją Europy. Nawet krytycy słów Giscarda d’Estaing przyznawali mu rację: **„Przyjęcie Turcji do UE to koniec marzeń o silnej Europie”**. Z Turcją Unia stałaby się „stowarzyszeniem państw o bliskiej współpracy gospodarczej, ograniczonej integracji politycznej oraz znikomym wspólnym ciężarze na arenie międzynarodowej”. Rzut oka na mapę (położenie geocywilizacyjne i geopolityczne) oraz na historię Turcji i Europy wystarczy, aby zgodzić się bez zastrzeżeń z tymi słowami. Za głupie należy uznać głosy domagające się przyjęcia Turcji do UE, które posługują się argumentem, że „Europa nie jest przecież chrześcijańskim klubem”. Nie jest istotnie. Jest czymś jeszcze więcej, i właśnie dlatego byłoby to szkodliwe dla jedności i siły Europy. Nie może dziwić, że głównym adwokatem przystąpienia Turcji do UE są Stany Zjednoczone, które nie dokładając do tego ani jednego centa, zapewniłyby sobie za jednym zamachem wdzięczność Turcji i słabość Europy! Turcji jako bliskiemu partnerowi Europy można zaoferować wiele korzystnych dla obu stron form ścisłej współpracy<sup>22</sup>. Naturalnie, siła Europy integrowanej w ramach UE nie zależy wyłącznie od jedności w sprawach, o których była mowa powyżej. Zależy także od siły jej instytucji, co jest przedmiotem prac Konwentu przygotowującego propozycje dla nadchodzącej Konferencji Międzyrządowej, oraz jej witalności i innowacyjności hamowanej nierządkiem gorsetem komisyjnych regulacji oraz brakiem politycznej śmiałości w obliczu koniecznych reform społecznych i ekonomicznych w samych państwach członkowskich. To właśnie z tego powodu już dziś można ogłosić fiasko ambitnej agendy lizbońskiej,

<sup>22</sup> J. Solana, *Europe's path for Turkey*, „IHT” z 7–8 grudnia 2002 r.; T. Fuller, *Why Giscard spoke out on Turkey and the EU*, „IHT” z 4 grudnia 2002 r.; W. Pfaff, *Inside the Turkey question*, „IHT” z 10 grudnia 2002 r.; G. Dobiecki, *Małżeństwo z rozsądku*, „Rz” z 22 stycznia 2003 r.

której stawką było sprostanie – jak przed czterdziestu laty – wyzwaniu amerykańskiemu (*défi américain*).

**Częścią amerykańskiego wyzwania dla Europy jest Rosja.** Amerykańsko-europejska rywalizacja o Rosję jest częścią walki o nowy kształt świata. Partnerstwo Rosji z Europą jest trudne dla obu stron. Europa jest dla Rosji zbyt wymagająca. Rosjanie mają świadomość, że rozwój ich kraju zależy od szerokich kontaktów z Europą, a jednocześnie spełnianie europejskich standardów jest dla Rosji trudne, jeśli nie niemożliwe. Z kolei Europie nadal brakuje recepty na Rosję; prawdopodobnie takiej recepty nie ma, bo przecież sama Rosja nie ma na siebie recepty. Dlatego zażyłość z Ameryką jest z moskiewskiej perspektywy znacznie bardziej atrakcyjna. Ameryka niczego od Rosji nie wymaga, popiera Moskwę w jej rozprawie z Czeczenią, a przy tym bezpośrednie kontakty Putin–Bush czy pomiędzy czołówką analityków i ekspertów ds. międzynarodowych obu stron dają Rosji miłe złudzenie partnerstwa z jedynym supermocarstwem. Ścisła więź między Białym Domem a Kremlm, jaka pojawiła się po 11 września, nie jest jednak bezwarunkowa. Pokazała to sprawa Iraku. Lęk przed samowolą zbyt mocarnego Waszyngtonu zjednoczył Paryż, Berlin i Moskwę. Jednak sposób, w jaki kierownictwo rosyjskie „rozwiązało” kryzys związany z opanowaniem przez terrorystów czeczeńskich Teatru na Dubrowce, wzbudził w Europie grozę.

„Tragedia moskiewska w sposób spektakularny oddaliła w bliżej nieokreślonej przyszłości marzenia o nowoczesnej, demokratycznej Rosji – pisał poważny komentator. – Okazało się, że ostatnia dekada zachodzących tam przemian w niewielkim stopniu zdołała przekreślić dziedzictwo 70 lat sowieckiej megalomanii i 500 lat moskiewskiego samodzierżawia. Ukryć, okłamać i wyszczerzyć kły – to fatalne pryncypia tej podwójnej tradycji. Co gorsza, aktualne badania opinii publicznej wykazują, że ciągle znaczna część społeczeństwa Rosji uważa, że tak właśnie trzeba (...)”<sup>23</sup>. **Szokiem dla Europy było konsekwentnie i do końca nieludzkie postępowanie Putina** i jego ekipy w tym kryzysie: po pierwsze, zagazowanie stu kilkudziesięciu widzów-zakładników; po drugie, zabicie z zimną krwią już obezwładnionych wszystkich terrorystów; po trzecie, odmowa jakichkolwiek rozmów czy mediacji, które stwarzały szansę zakończenia kryzysu bez rozlewu krwi (ważniejsze było okazanie stanowczości); po czwarte, bezceremonialne potraktowanie ofiar ataku „specnazu”, z których wiele zmarło dlatego, że nie chciano szpitalom ujawnić nazwy użytego gazu. Sposób „rozwiązania” kryzysu miał uwiarygodnić przed światem skalę zagrożenia terrorystycznego i ukazać Rosję jako państwo znajdujące się na pierwszej linii frontu walki z tym zagrożeniem; walki w tak samo zdecydowany sposób, jak czynią to Amerykanie. To nie mogło się powieść, bo Czeczeńcy to nie Al-Ka’ida, a nieludzka wojna prowadzona przez Rosjan w tym niewielkim i zrujnowanym przez nich kraju nie da się porównać z amerykańską interwencją w Afganistanie po 11 września. Trafnie mówił o tym Siergiej Kowaliow, który uprzedzając reakcję władz na wzięcie teatru przez czeczeńskich terrorystów, powiedział:

<sup>23</sup> M. Łukasiewicz, *Życzenia dla prezydenta Putina*, „Rz” z 2–3 listopada 2002 r.

„Spodziewam się barbarzyńskiej odpowiedzi (...) Dziś, kiedy pożar terroryzmu ogarnął Moskwę, otwiera się nowy rozdział wojny w Czeczenii. Przez lata w Rosji panowała niechęć, wręcz tchórzostwo, by spojrzeć prawdzie w oczy i podjąć rozumną politykę wobec Czeczenii. Teraz zbieramy owoce zakłamania i strachu przed prawdą. (...) **Jeśli jakiś naród jest poniewierany, mordowany, to w końcu zaakceptuje każde środki, dzięki którym może przetrwać i upominać się o swe prawa. Terror ma potworną logikę, której początkiem jest niewinnie przelana krew**”. Słowa, którymi prezydent Putin (w jednej z karykatur nazwany Gazputinem) uzasadniał swą decyzję w Brukseli, po szczycie UE–Rosja, były haniebne i spowodowały głęboką konsternację. Zachodni dyplomaci i eksperci następująco określali zachowanie Moskwy w tej sprawie: „Rosjanie udają, iż próbują naśladować Amerykanów, lecz jest to czystą parodią, w którą nikt nie wierzy. Jakikolwiek porównania z Al-Ka’idą są sztuczne, czeczeński opór bowiem jest zasadniczo inny w przyczynach i przejawach”. Zdaniem analityków następstwem moskiewskiej tragedii jest dalsze umocnienie pozycji służb specjalnych i resortów siłowych w rosyjskiej strukturze władzy, a także postępujące ograniczanie praw człowieka i podstawowych swobód, w tym religijnych, oraz fala islamofobii, która ma praktyczne konsekwencje dla bezpieczeństwa i warunków bytowania w Rosji ludności pochodzenia kaukaskiego i środkowoazjatyckiego. Nie ulega zarazem wątpliwości, iż rosyjskiej polityce wewnętrznej sprzyja tolerancja czy wręcz tchórzostwo Europy Zachodniej, która nieformalnie wyraża swą konsternację, natomiast oficjalnie wykazuje daleko posuniętą tolerancję wobec tej polityki, nawet jeśli odbiega ona dramatycznie od europejskich standardów, których Moskwa zobowiązała się przestrzegać. Stanowisko „Rosji wolno więcej” źle służy i Europie i Rosji. Rację bowiem mają ci, którzy twierdzą, iż „Moralność jest wartością autonomiczną, ale tak się składa, że na dłuższą metę opłaca się zbiorowościom, które jej przestrzegają. Historia XX wieku pokazywała, że tak zwany pragmatyzm zarówno w stosunkach wewnętrznych, jak i relacjach międzynarodowych okazywał się niesłuchanie krótkowzroczny”<sup>24</sup>.

<sup>24</sup> *Dziś zbieramy owoce*, z Siergiejem Kowaliowem, członkiem Dumy i obrońcą praw człowieka, rozmawia Jan Strzałka, „Tygodnik Powszechny” z 3 listopada 2002 r.; J. Andrew, *West is worried at what it sees in Moscow’s mirror*, „FT” z 13 listopada 2002 r.; B. Wildstein, *Nędza Realpolitik*, „Rz” z 4 listopada 2002 r. Wręcz czarną groteską były formułowane na gorąco entuzjastyczne oceny i gratulacje polskich ekspertów od zwalczania terroryzmu (G. Czempiński, J. Dziewulski) dla rosyjskich służb „specjalnych” w związku z ich akcją odbijania zakładników.